Tom XIII.

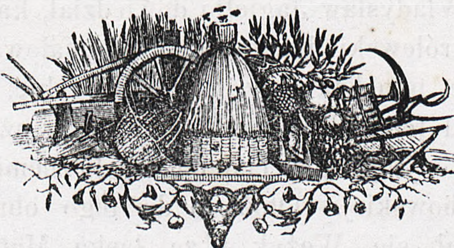
11. września



Nr. 8.

1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Klasztor sokalski.

Dawno to, bardzo dawno, bo już prawie sześć setek lat, kiedy to wielki książę litewski, Władysław Jagiełło, poganin, przyjąwszy wiarę chrześciańską został jak już wiecie małżonkiem królowej Polski Jadwigi, która to królowa swoją świątobliwością i mądremi rządami zniewoliła sobie serce wielkiego księcia tak, że aby zostać jej mężem wyrzekł się pogaństwa z całym swoim ludem. Otóż ten książę Jagiełło zostawszy sam chrześcianinem i królem polskim, pracował gorliwie razem z małżonką swoją Jadwigą nad nawracaniem całej Litwy pogańskiej na wiarę chrześciańską, a nie trudno mu to było, gdyż za przykładem ulubionego księcia swego garnął się lud tłumnie do wiary naszej, a poznawszy raz wiarę świętą chrześciańską poznał zarazem i szczęście, jakie ona człowiekowi daje.

Między nowo nawróconymi Litwinami znajdywał się malarz jeden nazwiskiem Wężyk, któremu na chrzcie imię św. Jakóba apostoła nadano. Tenże malarz tak był doskonałym w malarstwie, a miał tak wielką pamięć, że skoro spojrzał raz jeden

na jakikolwiek obraz, odmalował go zaraz z pamięci tak doskonale, że między jednym a drugim nie było żadnej różnicy. Gdy się o nim Władysław Jagiełło dowiedział, kazał mu przyjść na dwór swój królewski i zatrudniał go malowaniem obrazów z historyi, które przedstawiały wojny litewskie. Jakób Wężyk tak gorliwie nad temi obrazami pracował, że aż wzrok utracił. W tym czasie słynął już cudami rozlicznemi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Otóż to do tego obrazu w Częstochowie ofiarował się Wężyk i za łaską Matki Boskiej na nowo wzrok odzyskał. Kiedy powrócił do domu, chciał z wdzięczności za tak wielką łaskę taki sam obraz odmalować jaki widział w Częstochowie. Przygotował sobie do tego tablicę z drzewa zamorskiego, cyprysowego, lecz kiedy się zabrał do malowania poznał z wielkim żalem, że mu obraz częstochowski całkiem wypadł z pamięci, i że nie potrafi podobny tamtemu odmalować. Poszedł więc powtórnie do Częstochowy i bardzo się pilnie wpatrywał w obraz cudowny lecz kiedy znowu do domu powrócił, zapomniał już znowu całkowicie. Co namalował to znowu zamazał, próbował i próbował, ale nigdy mu się nie udało. Pomyślał sobie, że pewnie jest niegodny odmalować ten obraz i poprzestał swej pracy. Lecz ludek pobożny, który wiele słyszał o cudach obrazu częstochowskiego, tak zaczął nalegać na malarza, by mu taki sam wizerunek odmalował, że Jakób Wężyk po trzeci raz wybrał się w pielgrzymkę do Częstochowy, lecz przedtem przygotował sobie ową tablicę cyprysową i wszystkie farby i narzędzia do malowania jak się należało i zamknął to wszystko w osobnej komorze, do której nikomu wstępować nie wolno było aż on wróci, i zabrał klucz od tej komory z sobą. Przybywszy do Częstochowy oczyścił się z grzechów swoich w spowiedzi, przyjął komunię świętą a potem dla uproszenia łaski leżał krzyżem przed tym obrazem i począł się z wielką skruchą w obraz cudowny wpatrywać.

Gdy nazad powrócił, przyszedł natychmiast do owej komory, i znalazł wszystko tak jak zostawił, zamek nienaruszony i żadnego śladu ludzkiego nie było, lecz kiedy otworzywszy zamek drzwi odchylił, oblała go wielka jasność, która

całą komorę napełniła, tak że omal wzroku nie postradał, lecz kiedy z przestrachu nieco przyszedł do siebie, ujrzał obraz skończony, zupełnie podobny do częstochowskiego a przed ołtarzem stał anioł w szacie białej i dwie świece gorejące przed obrazem, a kiedy w trwodze z pokorą padł na kolana i dziękował Matce Najświętszej za cud doznany, anioł ów odezwał się do niego w te słowa.

— Za pobożność i cześć dla Matki Najświętszej, którą serca wasze pałają ku Niej, utworzył sam Pan Jezus ów obraz, Matki swojej, byście w każdej potrzebie z wiarą i ufnością uciekając się do Niej, łask Jej doznawali!

Po tych słowach zniknął anioł i światłość a pozostał tylko obraz i przelękniony a skruszony malarz. Ten tedy obraz zaniósł Wężyk z wielką czcią, pośród licznie zgromadzonego ludu do Sokala i ofiarował go kapłanom ruskiego obrządku, gdyż natenczas nie było jeszcze tego kościoła murowanego, w którym się dziś ten obraz znajduje. Tamże przy tej cerkiewce, obok obrazu cudownego obrał sobie Jakób Wężyk mieszkanie, gdzie też życia swego świątobliwie dokonał. Taką to legendę opowiadają o obrazie sokalskim. A słynął ten obraz wielu cudami dla tych, co się serdecznie modlili i był w wielkiem poszanowaniu u kapłanów ruskich. Lecz smutne to czasy były wtedy w Polsce, kiedy to Tatarzy zalewali swemi hordami Ruś Czerwoną, miasta i wsie ogniem i mieczem niszczyli, ludzi mordowali lub w cięższy od śmierci jasyr uprowadzali, to też kiedy później napadli Tatarzy na Sokal i i miasto to do szczętu spalili, spłonęła i cerkiew ta, tak że ludzie powracający z lasów, dokąd się byli przed Tatarami ukryli, i śladu odszukać nie mogli, gdzie ta cerkiew stała, tak Tatarzy wszystko zagładzili, aż dopiero daleko później kopiąc przypadkiem na tem miejscu obraz całusieńki i nienaruszony z ziemi wydobyli. Zbudowali na prędce kościółek z palów dębowych na kępie, oblanej z jednej strony rzeką Bugiem a z drugiej Ratą, gdzie między chaszczami i drzewami ukryty, długie wieki przetrwał, a chociaż później Tatarzy znowu w tych okolicach grasowali, jakoś cudem tego kościółka nie dojrzeli.

Tamże przy tym kościółku zbudowała pobożna pani Tarłowa, chorążyna sandomierska, wielka miłośnica Matki Boskiej, mały domek dla pustelnika, coby ludowi drzwi do kościółka otwierał i bydło tamże pasące się odpędzał, by szkody nie wyrządzało. Słynął wielu cudami i w tym kościółku obraz Matki Boskiej, a między innemi i tym, że kiedy pewna pani, nazwiskiem Ostrorogowa, będąc dwadzieścia lat zamężną, żadnego potomstwa doczekać się nie mogła, kiedy się ofiarowała do tego obrazu, powiła syna Konstantego, który to później z wdzięczności za łaskę swego narodzenia, ofiarował wielkie sumy pieniędzy i najwięcej przyczynił się do odmurowania tego klasztoru, w którym się dzisiaj ten obraz znajduje.

Kiedy później Tatarzy napadłszy na okolicę podłożyli drzewa suchego pod kościółek i podpalili, spłonęło drzewo, a kościółek został nienaruszony. Tak to opiekowała się Matka Boska jawnie swą świątynią i okazywała jak to miło jej patrzyć na gorliwe zachody około chwały Jej na tej ziemi.

Ale nie ten jedyny raz chronił Bóg tego przybytku. Oto posłuchajcie drugi przykład:

Smutne to czasy były w Polsce, kiedy zbuntowali się Kozacy i pod wodzą swego hetmana Bohdana Chmielnickiego zadawali naszej ojczyźnie ciężkie rany a tem boleśniejsze, boć pochodziły od własnych dzieci. Bohdan Chmielnicki sprzeniewierzył się matce swej Polsce z zawiści osobistej, pozbierał zbiegów, których za podniesiony bunt czekała w ojczyźnie kara, a którzy uszli z Polski aż nad rzekę Dniepr i tam z rabunku żyli. Tych tedy pozbierał dumny a mściwy Bohdan Chmielnicki, ogłosił się ich hetmanem i naprowadzał ich na własną matkę ojczyznę, wielkie klęski jej zadając. Napadał na spokojne klasztory i kościoły, łupił, a złupiwszy palił i niszczył, mordował xięży katolickich, rabował wsie i miasta i dopuszczał się niezliczonych okrucieństw, tak nad szlachtą polską, jak i nad spokojnym chłopkiem.

Otóż to ten Bohdan Chmielnicki, hetman całej Ukrainy zebrał do 80.000 Kozaków a tyleż Tatarów zamówił sobie na pomoc i ciągnął z tem wojskiem pod Lwów po drodze paląc

i pustosząc wszystko. Kiedy przyszedł pod Sokal, zachciało mu się skarbów, złota i srebra, co to pobożni ludzie ofiarowali Matce Boskiej za doznane łaski i dobrodziejstwa. Kościół i klasztor Bernardyński był już wtedy murowany ten sam co dzisiaj, a w około grubym murem opasany jak jaka forteca. Tutaj schroniło się trochę polskich panów, dokąd znieśli i skarby i życie swoje i żon i dziatek swoich. Wszystkich ludzi razem było tylko 200 do obrony, reszta starzy, kaleki, kobiety i dzieci. Wiele ludu ukryło się w lasach, bo klasztor nie mógł więcej pomieścić. Gdy tedy Bohdan Chmielnicki stanął pod Sokalem i rozłożywszy tam na polach obóz chciał oblęgać klasztor, a wiedział że mu się to tak łatwo nie uda dostać się do klasztoru, znając, jak to mała garstka Polaków mężnie broni kościołów przed zniewagą i życie swych żon i dziatek. By dać znać o sobie i co zamyśla zrobić z klasztorem, kazał podpalić w miasteczku klasztor drewniany Panien Brygidek i cały go w perzynę obrócił.

Nie zlękła się tej groźby załoga klasztorna, boć pod opieką Matki Boskiej cudownej złość ludzka szkodzić im nie mogła. Kiedy Chmielnicki widzi, że go się nie lękają i o łaskę nie proszą, rozkazał zaraz Wychowskiemu, którego miał przy sobie, aby przyjacielski list napisał do najstarszego klasztoru, a tenże taki list posyła do klasztoru: „Nie natośmy tyle wojska sprowadzili pod klasztor, byśmy wam chcieli co złego uczynić, tylko pilno się o przyjaźń waszą i oto staramy, byśmy sobie honor i wieczną sławę zarobić mogli, a wy i panowie szlachta macie nas za nieprzyjaciół. Otóż otwórzcie nam dobrowolnie bramy i nie gniewajcie Chmielnickiego swym uporem, bo garstki tej, co jest za murami, nie stanie i na godzinę.“

Gdy tedy Chmielnicki na ten list odpowiedzi czeka i gniewliwie na klasztor spogląda i już chce całą siłą na klasztor z wojskiem uderzyć, nadeszła noc, a Kozacy już się gotują do szturmu, gdy w tem nietylko sam Chmielnicki, ale i całe wojsko jego ujrzą z wielkiem przerażeniem, jak jakaś postać kobiety jasnej w świętym ubiorze z koroną złocistą na

głowie wyprowadza niezliczoną moc wojska polskiego na mury i szykuje je do odporu. Przejęty strachem tego widzenia każe Chmielnicki wojsku swemu odstąpić, a i to wojsko polskie z murów ustąpiło. Nazajutrz odebrał list od klasztoru, w którym mu napisali, że go do klasztoru puścić nie myślą i jego potęgi się nie boją. Zgrzytał zębami Chmielnicki na taką odpowiedź małej garstki, ale wiedział, że siłą ich nie pokona, kazał więc wojsku odstąpić, a tylko małym oddziałem kazał niepokoić klasztor, co robił już tylko ze wstydu, ale załoga wypadając z klasztoru wszystkich tych co ich niepokoili do niewoli zabierała z małą stratą swoich. Udaje więc Chmielnicki przyjaźń, i sam pisze do przełożonego klasztoru, aby go tylko samego ze sługą jednym do klasztoru wpuścili, a on nietylko za to ich ludzi pojmanych im wróci ale wieczną przyjaźń z nimi zawiąże. Długo się naradzali w klasztorze, co zrobić, czy wpuścić go, czy nie; a że Chmielnicki prosić nie przestawał i coraz więcej obiecywał, postanowili go wpuścić, by swoich braci z niewoli wydobyć! Ucieszył się Chmielnicki i zaraz oddał niewolników swoich klasztorowi nazad, myśląc że jak sam wejdzie do murów klasztornych, a oglądnie, gdzie mury najsłabsze, ile ludzi jest do obrony, czy mają dosyć prochu i żywności, to ich potem zdradą łatwo wszystkich zająć potrafi.

Wpuścili nareszcie Chmielnickiego samego ze sługą jednym do klasztoru, a kiedy Chmielnicki wszystko dobrze oglądnął, i wszystkiemu się dobrze przypatrzył i o wszystkiem się wywiedział, chciał się jeszcze przekonać, ile złotych i srebrnych ofiar i kosztowności znajduje się u obraza i czy opłaci się to klasztor szturmem zdobywać. Wchodzi do kościoła z miną butną i każe sobie obraz odsłonić. Skoro obraz odsłoniono, tak ciężka padła nań trwoga, i tak mocny żal przejął jego serce, że się skruszony bił w piersi a pokłony czyniąc błagał litości u Matki Najświętszej za swoje złe i podstępne myśli; A potem już przejęty strachem wielkim kazał słudze swojemu natychmiast spieszyć do namiotu i przynieść kufel srebrny z którego sam pijał, pełny złotej i srebnej monety i sam to własnę ręką Matce Boskiej cudownej ofiarował i zaraz od klasztoru z wojskiem swojem odstąpił.

Takto zawsze i wszędzie Panienka najświętsza broniła od wrogów naszą ojczyznę kochaną! Prośmy i teraz tę Królowę Polski aby nas i ziemię naszą ojczystą miała w swej świętej opiece i wybawiła z niedoli.

Szczęsny z Żółkwi.

Sosna nad grobem.

Na wioskowych mogiłach,
Rosła sosna borowa.
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybujała jej głowa.
Pogiętemi konary,
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary,
Żółty piasek wysysa.
Z mogiły wyrosłszy cała,
Za te soki co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała,
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni,
Biedna sosna borowa,
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie,
Co dzień cichsza, milcząca,
Każdy wierzyk, co wionie,
Więcej kolców z niej strąca;
Rzuca w ziemię rodzinną,
Zeschłe szyszki i ziarna...
W końcu — jeszcze przed zimą,
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie ją pyta:
— „Biedna sosno z mogiły!
„Czyś ty gromem przebita?
„Czyć robaki stoczyły?
„Czy ci żeru nie było,
„W żółtym piasku z pobliska?
„Albo kamień swą bryłą,
„Twe korzenie naciska?"

— „Och mnie nie tknął grom z burzą,
„I robaki nie toczą;
„Ziemia soków ma dużo,
„I mnie karmi ochoczo.
„Gdzie kamienie i głazy,
„Szłam z korzeńmi zdaleka:
„Wrosłam — gorzej sto razy!
„W trumnę złego człowieka!
„Trumna zgniła na próchno,
„Zgniły w piersiach mu błonki,
„W serce trupa leciuchno
„Zapuściłam korzonki.
„Chłód mię przebiegł grobowy
„Gdym possała zeń trocha:
„Bo to człek był takowy,
„Co nikogo nie kocha!"
„Pierwsze z piersi swej soki
„Dał cmentarnej choinie;
„Czułam jak z tej opoki
„Brzydki we mnie jad płynie.
„Z jadem śmierci w mem łonie
„Byłam smutna, milcząca...
„Każdy wietrzyk, co wionie,
„Więcej kolców mi strąca.
„Próżno w ziemię rodzimą
„Nowe rzucać chcę ziarna...
„Ziarna zeschły — przed zimą
„Ginie sosna cmentarna!"

Władysław Syrokomla.

Ojcowizna.

Powiastka z niedawnych czasów.

Miła swoja chatka,
Jak rodzona matka,
Nasz kraj, to nasz raj,
To nam graj i znaj!...

Nad naszą Wisłą, niedaleko Sandomierza, leży ładna wieś Burzany. Chatki tam schludne i białe by śnieg, przy każdej czyściutka stajenka, stodółki, i obornik świeżą naścielony słomą. Dziedzińczyk czysto zamieciony, przed oknami kwiatki, a z zatyłku każdziuchnej chaty uśmiechają się by krew rumiane jabłuszka i smaczne gruszki. W środku sioła, na pagórku bieleje kościółek. Stare lipy szumią mu nad dachem, krzyżyk na kopułce kąpie się w słoneczku, obok pochyliła się dzwonnica. W probostwie schludno i pięknie; ogrodek w drzewka bogaty, z za płotu bieleje pasieczka, przy wrotach czyściutka studzienka z skrzypliwym żórawiem...

Tak to wyglądały Burzany. Z jednej strony wioski przytykał brzozowy lasek, z drugiej widać było zielone brzegi Wisły... Tam po sinej wodzie płynęły tratwy, czółna i czółenka; wesoło przyspiewywali sobie flisaki, a stara, zadumana Wisła niosła szerokie tratwy z pszenicą polską daleko, daleko na morze...

Tak to było w Burzanach, gdy żył tam jeszcze stary, poczciwy kmieć, Bartłomiej Mantyna. Gruntów miał on podostatkiem, zagrodę schludną, za chatą ogródek z pasieką, stodółkę pełną zboża, w stajence kilkoro koni, oborkę także nie próżną, a za oborką parę stożków śliczniutkiego siana. To też w całej wiosce nie było zamożniejszego gospodarza nad Bartłomieja; nikt nie miał co roku tyle zbiorów, u nikogo nie były tłuściejsze jałówki, żaden z gospodarzy burzańskich nie mógł się pochwalić takiemi konikami jakie miał Bartłomiej Mantyna. A czy to nie stanie komu chleba, zabraknie tego lub owego, zasłabnie bydle, to bieda w przednowek dokuczy, u kogoż się nie zapożyczyć, kogoż nie poprosić o pomoc i radę jak nie starego Bartłomieja?

A miałci poczciwy Mantyna dwóch synów, Staśka i Szymka. Macierz dawno ich odumarła, zatoż stary ojciec kochał biedne sierotki, pielęgnował je i pieścił, bacząc, by im chyba tylko na ptasiem mleku zabrakło...

Stasiek był sobie duszą i ciałem poczciwy chłopak. Czy to ojcu staremu dopomódz, w gospodarce go wyręczyć, a w niedzielę i święta po modlitwie pohasać z dziewczętami krakowiaka — do wszystkiego był nasz Stasiek zuch! Stary Mantyna radował się też nim niepomału, i nieraz bywało mawiał:

— Mój Staśko to chłopczyna jakich mało! Nie nadaremnieć to nieboszczka żona moja — świeć tam Panie nad jej duszą! — zawsze mi bywało powtarzała: — „Bartku! jak ja umrę, pamiętaj o Staśku! To dobre dziecko, będziesz miał z niego pociechę, w niejednem to cię pożałuje i wyręczy, w gospodarce pomoże, a broń Boże przyjdzie słabość, to i posiedzi przy tobie i usłuży; już to nie takie jak ten hultaisko Szymek, co jeno cały dzionek Boży po wsi się włóczy i w karczmisku siedzi!...“

I dobrze mówiła nieboszczka żona starego Bartłomieja Mantyny. Staśko wyrósł na porządnego i gospodarnego parobka, ojcowie i matki strasznie go zazdrościli staremu Mantynie, a dziewczęta to jeno zerkały nań oczkami, rade przyciągnąć hożego parobczaka ku sobie...

Stasiek jednakoż na to wszystko nie baczył i jak dawniej pracował za siebie i za brata. Gospodarstwo szło nie źle, w komorze grosza przybywało, a stary ojciec oddawszy wszystko synowi, żył sobie szczęśliw i spokojny, bo wiedział, iż praca jego marnie nie pójdzie...

Tymczasem wiele minęło lat. Stary Bartłomiej umarł, a na grobie jego zazieleniła się bujnie trawa i zakwitły kwiatki, a stary, spruchniały krzyżyk pochylił się ku ziemi...

Staśko się ożenił i doczekał dziatek, gospodarka szła mu jak dawniej, zboże się rodziło, bydełko chowało, konięta dobrze wyglądały, a w domu był spokój i szczęście...

Tak to Bóg miłosierny zlewa błogosławieństwo swoje na pracowitego kmiotka, co umiał przykazania Jego szanować, rodziców kochać, nie próżniaczyć i nie rozpustować.

— Alećcóż się z Szymkiem stało? zapytacie może. Jeżliście ciekawi — posłuchajcie.

W Burzańskiej karczmie, za brudnym stołem siedzi on z twarzą od trunków zczerwieniałą, zapuchniętą i opryszczoną. Na nim podarty, brudny łachman, szyja obnażona, na piersi czarna, potargana szmata, nogi nie okryte...

— Moszku!... woła pijanica zachrypłym od pijaństwa głosem — dawaj wódki!

— Ny, a gdzie pieniądze?...

— Co ty się szelmo o pieniądze pytasz, dawaj wódkę, a ja ci dług z ojcowizny wypłacę!...

— Ny, co to ojcowizna!... — droży się mądry żydek, — mnie się już połowa z tego za sznapsa należy!...

— A bierz djabli ojcowiznę!... — wołał pijany Szymek — Moszku!... ja ci ją sprzedam!...

Żydowi jeno w to graj. Wiedział, że pijanica Szymek duszę by oddał za śmierdzącą wódkę, a więc dalej w targi!... Szymek się droży, żyd poddaje wódczyska, coraz to więcej dolewa, aż Szymek, spity jak zwierz powalił się pod ławę...

Skończono targ. Podpity Szymek za lichy grosz sprzedał żydowi ojcowiznę. I zapłakał nad nim Stasiek, i wielu pożałowało gospodarzy, iż dla szkaradnego trunku wyrzekł się ojczystego kąta i rodzonego brata...

W kilka dni po sromotnej tej sprzedaży, Moszko już gospodarował na połowie ojcowizny. Niezadługo potem, ładnego jednego wieczora widziano pijanicę Szymka, jak z kijem wędrownym wychodził z wioski. Zachodzące słonko ostatnie promyki rzucając na schludną wioskę, smutnie żegnało Szymka, który nie mógł znaleźć szczęścia w ojczystej zagrodzie...

Od tego czasu znowu wiele minęło lat. W naszej Polsce kochanej wybuchła wojna, a ten i ów, stary czy młody, panek czy włościanin, bogaty i ubogi, chwytał za broń i spieszył w bratnie szeregi...

A będzie to już temu z górą trzydzieści lat. Po wsiach i miasteczkach jakby wymieciono: huk parobczaków biło się już po różnych stronach kraju, a jaki taki spiesząc z kosą w ręku w swojskie szeregi, radośnie sobie przyspiewywał:

Nie pobiją naszej wiary,
Ojczyzna nie zginie,
Póki Litwą Niemen stary,
Polską Wisła płynie!...

Nie zawszeć to jednak to bywa, jak sobie człowiek układa. Człek strzela, a Pan Bóg kule nosi, — mówi stara przypowieść.

Wrócili nasi z wojaczki — wrócił i Stasiek Mantyna, co przed pół rokiem pożegnał był żonkę młodą, i poszedł z kosą na wroga...

Dzięki miłosiernemu Bogu wrócił cały i zdrów, z rękoma zdolnemi pracy, jeno z sercem smutnem po stracie drogiej ojczyzny...

Tymczasem o pijanicy Szymku już prawie zapomniano. Od czasu jak wyszedł z kijem w ręku z rodzinnego swego sioła, nie powrócił już. Ludzie o nim zapomnieli, bo i nie było o kim pamiętać, od czasu do czasu tylko zabłąkany jaki z dalekiej strony dziadek rozpowiadał dziwa o Szymku Mantynie, znanym w szerz i wzdłuż rozpustniku i pijanicy co się zowie...

Tymczasem Staśkowi gospodarka szła nie źle i w domu się szczęściło. Bóg miłosierny błogosławił go jakoś we wszystkiem. Sąsiedzi dziwowali się ino, zkąd jemu to szczęście tak jakby samo w ręce lezie, a stary Maciej Szymbura, co to był od wielu lat już sołtysem, a i nie nadaremnie siwą głowę na karku nosił, kiwał ino pobożnie baranią swoją czapką i powiadał.

— Stasiek Mantyna, to gospodarz, jakiego jeno szukaj. Biednego zapomoże, sąsiada rad zapożyczy, pobożny, cnotliwy, grosza nie przehula, nie przerozpustuje!... Już to on we wszystkiem podobniuteńki do starego Bartłomieja — świeć tam Panie nad jego duszą!...

I dobrze mawiał stary Maciej Szymbura.

Stasiek o kapkę nie odróżnił się od nieboszczyka ojca swego. Gospodarkę lubił, do karczmy nie zaglądał, rad był z tego czem go Bóg miłosierny obdarzył, nie narzekał napróżno na swą dolę, i chwaląc Najwyższego Stwórcę orał rolę, którą starzy jego ojcowie uprawiali...

Tak to stały rzeczy, gdy po wielu latach, ładnego jednego wieczoru do wrót zagrody Staśkowej przywlókł się dziad jakiś

stary. Licha, podarta siermięga wisiała na nim, z za brudnej, ze szmat pozszywanej koszuli widać było czarne wyschłe piersi. Oczy zapadły gdzieś głęboko, cała twarz zarosła włosami. Dziadek klęczał przy wrotach, w ręku miał brudną, wydartą czapkę i szeptał cicho: „Ojcze nasz! któryś jest w niebie....“

Na przyzbie chaty siedział Stasiek. On patrzał się na dziatka, coś sobie przypominał, zdawało mu się, iż go już gdzieś widział, myślał, myślał, i w głowie mu się plątało....

W kościele dzwoniono na nieszpór. Słonko zachodziło, stara lipa za chatą szumiała coś sobie cichutko, bocian klekotał na stodółce....

Dziadek klęczał przed wrotami, z oczu ciurkiem kapały mu łzy na ziemię, a on ino modli się a modli:

— „Ojcze nasz! któryś jest w niebie! Święć się imię Twoje! Bądź wola Twoja jako na ziemi tak i na niebie...“

Stasiek siedział na przyzbie, a na sercu zrobiło mu się jakoś tak miło, jak nigdy. — Wspomniał coś sobie. — Dawno już temu, bo będzie kilkanaście lat, taki sam był raz wieczór. Słonko tak samo się chowało za chmurki czerwonawe, tak samo szumiała lipa, i stary buśko klekotał na gnieździe, a w kościółku dzwoniono na nieszpór....

Była to smutnej pamięci dla Staśka chwila, bo tego to wieczoru opuszczał go brat starszy, pijanica Szymek.

Słonko zachodząc za bór sosnowy smutno żegnało Szymka, co z kijem wędrownym w ręku puszczał się na długą włóczęgę....

Przypomniał się snać ten smutny wieczór Staśkowi, bo ciężko ino westchnął i rożdusił łzę w oku. Tymczasem stary dziadek klęczał przed wrotami, i ciągle ino modli się a modli, to się uderzy ze skruchą w piersi, to znów boleśno czegoś zaszlocha i zajęczy, a łzy mu ciurkiem kapią po twarzy....

Staśkowi żałośnie czegoś serce zakołatało. Spojrzy na siwego dziadka mile i zapyta:

— A zkądże wy to mój biedny dziadku? Pewnie bardzo zdaleka?...

A dziadek ino zaszlochał i głęboko uchylił głowę. Stasiek poskoczy z przyzby ku wrotom, spojrzy na dziadka i krzyknie boleśnie:

— Jezu miłościwy!.... toć to Szymek!.... —

Poczciwy nasz Staśko był już w ramionach starego dziadka. A dziaduś szlochał i jęczał na wpół smutno, to radośnie, przyciskał brata do czarnej zabrudzonej piersi, a łzy to mu już teraz strumieniem lały się po twarzy....

Był to Szymek. Dawno już temu, boć jeszcze był młodym, gdy z grzesznej rozpusty przehulał ciężko przez starego ojca zapracowany grosz i puścił się w świat, na włóczęgę....

Bóg mu jednakoż coś nie szczęścił. Nie poszanował pijanica Szymek ojcowizny, sprzedał żydowi grunt, a sam za grosz ojczysty pił i rozpustował — toż i przyszło za te grzechy ciężkie a sprawiedliwe pokaranie Boże. Biedny Szymek, opętany snać od czarta puścił się potem na złodziejkę, a w roku 1831. kiedy to w Polsce wrzało i gotowało się jak w garnku, on szpiegował swoich braci i za lichy grosz przysługiwał się Moskalom....

Nadeszła aleć kara za grzechy Szymka. Wzgardzony od swoich, od Moskali nawet opuszczony, tułał się grzeszny Szymek daleko po moskiewskim kraju, wędrował od wsi do wsi, od chaty do chaty, i żebrał za kawałkiem suchego chleba.

Odezwało się w nim przy końcu już sumienie. Żal mu się zrobiło za swoimi, za bratem, za rodzinną ziemią i ojczystą zagrodą z staremi lipami na podwórku i gniazdem bocianiem na stodółce. Pomyślał sobie biedny Szymek, jak to on przemarnował swoje młode lata, ile to on już narozpustował się i nabroił złego, i z wielkiego żalu łzy mu z ócz ciurkiem trysnęły.

Myślał sobie: każdy człowiek ma swój kraj i swoją ojczyznę, zagrodę, chatkę i kawałek roli, a każdy jeno wzdycha, by go Bóg miłosierny obdarzył żonką cnotliwą i pobłogosławił w dziateczkach. Szymek nie miał nikogo. Nawet ojczyzna jego Bóg wie jak daleko od niego była. Błąkał się po kraju moskiewskim, patrzał na miasta, sioła, rzeki, lecz to wszystko nie było mu jakoś swojskiem. Snać każdemu najlepiej w swoim kraju, w swoim domu.

Ach kraj nasz tak błogi,
Że widząc te niwy,
Choć człowiek ubogi,
A jednak szczęśliwy!

I takiej natury,
Że się nie oddali,
Choćby mu dawali
Nawet złote góry!

Wspomnij jeno komu
Że ma odejść z domu
I z domu i z kraju:
Łzami się zaleje,
Na śmierć zatęsknieje
Po rodzinnym kraju!...

Tak to sobie spiewał biedny jeden Polak wygnany daleko na cudzą ziemię. Oj prawdę mówi ta śliczniutka piosenka!... I Szymkowi, co tyle narozpustował się już w życiu, zatęskniło się w końcu za swoim krajem. Z torbą na plecach, a z kijem dziadowskim w ręku wędrował on od wsi do wsi, od chaty do chaty hen daleko, na południe. Czasami wyżebrał gdzie kawałek czarnego chleba, gdzieindziej wygnano go z chałupy, a nieraz przecierpieć musiał głód i zimno, i nakarmić się korzonkami w lesie. Nareszcie po długiej podróży przywlókł się jednego wieczoru do zagrody Staśkowej. Tam dopiero wypoczął po długiej biedzie. Poczciwy Staśko rad go przyjął u siebie i pokochał po dawnemu, bo widział, jak biedny Szymek ciężko odpokutował swoje przewiny. Aleć Bóg sprawiedliwy zarządził inaczej. Niedługo potem zmęczony podróżą Szymek zachorzał ciężko i po długiej męce skonał.

Tak to ojciec nasz sprawiedliwy pokarał grzesznika, który dla rozpusty zapomniał o rodzinie, i ojczyźnie kochanej!

Zmartwiony śmiercią brata Staśko sprawił mu uczciwy pogrzeb. Na mogile postawiono mu krzyżyk z dębowego drzewa, a kto ino przejdzie tamtędy i spojrzy na grób Szymka, żegna się pobożnie i szepcze „Anioł Pański“ za duszę grzesznika, co za mało miłował ojczystą swoją ziemię, i popadł w straszne grzechy...

Henryk Mierzeński.

O obchodzeniu się ze zwierzętami.

Sprawiedliwy lituje się także nad bydlęciem! mówi pismo św. Prawdziwie, kto się nad bydlęciem nie lituje, nie może być sprawiedliwym; bo Pan Bóg stworzył zwierzęta na pożytek dla

człowieka i na to, żeby się cieszyły na tym pięknym świecie. Lecz przyjacielu! o tem nie pomyślałeś, jak może nie raz wróciłeś z pola, łąki, lub lasu i przyniósłeś gniazdo z jajami, albo młodemi ptakami do domu, dla swych dzieci do zabawy. Bodaj ci Bóg odpuścił ten grzech! Może się na to rozśmiejesz i powiesz: Jaki grzech, niech sobie ptak inne gniazdo uściele! Ale pozwól! gdybym ci z twojej własności cośkolwiek zrujnował i powiedział: zrób sobie, albo kup inne w to miejsce. Ach! jakbyś się ty pienił ze złości na mój postępek. Zastanów się, czyś nie uczynił tak samo, gdyś dzieciom przyniósł gniazdo z młodemi ptaszkami? Nie dosyć, żeś sam haniebny uczynek popełnił, ale już z młodu uczysz tym sposobem swe dzieci, dręczyć niewinne zwierzęta i zaszczepiasz surowość i nieczułość w ich serce. Nie prawda, żeś o tem nawet nie pomyślał? Przyjacielu! nie zapomnij o tem, że niejeden, co się z młodu nauczył zwierzęta dręczyć, przyzwyczaił się do nieczułości i z zimnem sercem patrzał na niedostatek, albo cierpienie swych starych rodziców. Fundament tak dobrego, jak złego zaszczepia się już w młodem sercu dziecka. Tak jedno, jak drugie wydaje owoce, ale ostatnie wydaje okropne owoce. Dla tego, tak rodzice, jak starsi nie dawajcie złego przykładu dla dzieci, bo one prędzej naśladują to, co widzą, niż to co słyszą w kościele i szkole. Pamiętajcie o tem, żebyście przez szpary na wasze dzieci nie patrzyli, jak co złego robią. Przypatrzmy się na polu, jak się pasterze z bydłem obchodzą? Tam nie widać litości, ale widzieć można, jak się pastwią nad bydlęciem, jak je biją i przeklinają, a dla czego? nie dla czego innego tylko, że się z kupy odłączyło i że im przeszkodziło w leżeniu i próżnowaniu. Gdy bydło pędzą do domu, tedy je biją i gonią, albo do chlewa, lub z niego zawsze z krzykiem i batem gwałtownie wyganiają. Patrzmy! ile to bydła bez rogów, bo mu je strącono, ile bez oczu, bo mu biczem wybito, ile w inny sposób uszkodzonego? A jeżeli pasterz w ten sposób swej nieczułości nie zaspokoił, to na polu powiąże bydło i głodem je morzy. Taki pasterz za młodu z pewnością się zaprawił na dręczeniu muchy, motyla, lub chrabąszcza. Przypatrzmy się parobkom na polu, jak oni się z końmi obchodzą? tam kij, albo bat bez ustanku w robocie

nad temi pracowitemi stworzeniami, a poszlij go tylko do miasta, to pojedzie z drugimi na wyścigi, nie pytając się, choćby konie trupem padły. Jeżeli na targ, lub na jarmark sam gospodarz pojedzie, to nie szczędzi czasu do gawędzenia ze znajomymi, a konie o głodzie, albo nędznem sianie na słocie, lub upale, a zimą na mrozie, albo zamieci śniegowej stoją często cały dzień, aż nareszcie nocą dopiero pędzi do domu zgłodniałemi i zmarnowanemi zwierzętami.

Pomyślałżeś kiedy o tem, mój przyjacielu! że to, co wozisz na targi i jarmarki konie ci wypracowały? one to twoje pola uprawiły, nie ty, one ci zwiozły żniwo do stodoły, one ze stodoły na targi i jarmarki zboże wywożą. A ja pytam się: dostałyż one tyle paszy pożywnej i regularnie codzień, żeby głodu nie cierpiały? Pomyślałżeś o tem, że jeden koń dobry dla ciebie więcej znaczy, niż dwadzieścia mórg roli? bo tych dwudziestu mórg ty sam twoją ręką, rydlem, lub łopatą nie uprawisz, tylko twój koń. Pomyślałżeś o tem, że konie i woły zbudowały wsie i miasta, a nie sami ludzie, bo oni na barkach nie znosili ani budulcu, ani kamieni, cegły, wapna, piasku i t. d. Pomyślałżeś o tem, że człowiek ma ze zwierząt: pokarm, przyodziewek, obuwie, pracę i wygodę? że człowiek bez zwierząt obejść się nie może? A jeżeli się obejść bez zwierząt nie może, nie powinienże z niemi łagodnie się obchodzić i dobrze obfitą i pożywną paszą karmić i chędogo je utrzymywać? Sprawiedliwy ma na pieczy bydlątko swoje, mówi pismo ś. Bądźże i ty sprawiedliwym względem twojego bydlęcia, abyś wypełnił wolą Tego, który i ciebie i zwierzę stworzył, lecz tobie tylko dał rozum, a zwierzęciu moc wielką. Dlatego zapiszcie sobie nasze napomnienie głęboko w waszem sercu rodzice, a nie dopuszczajcie nigdy, żeby wasze dzieci dręczyły choćby najmniejsze zwierzątko, a wy gospodarze, pilnujcie waszą czeladź, aby się z waszym dobytkiem łagodnie obchodziła, ale nadewszystko sami ze siebie dajcie dobry przykład.

Sz. N.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.